

druków i niedodruków, czego przed Andrzejem, chodzącym ze znaczkiem PRON-u w klapie, nie udało się ukryć. Dyskutowali politycznie zawzięcie i zacięcie, lecz nic złego nie wyniknęło z tego dla mojego brata. Ani wówczas, ani później. Z wyjątkiem mojej reprimendy, brzmiącej mniej więcej tak: *Sluchaj no – to jest klasyczna, idiotyczna polska konspiracja – chować „pokarm dla kanarków” u matki, u ojca u brata, słowem – u rodziny*⁷. Przecież od najbliższych krewnych rozpoczynają przeszukania. Następnego dnia odwoziłem walizki do... mojej teściowej. *Zachowałem się po polsku, nieprawdaż? Ale i teściowej nic się nie stało. Sam Andrzej wyszedł na tym „do przodu”, dostał bowiem „za fryko” dwa, świeżo pachnące drugoobiegowym drukiem, egzemplarze Popperowskiej „Nędzy historycyzmu”*⁸.

Rafale, skreśliłem te kilka zaopatrzonych w przypisy „odpominanek” ze świadomością, że być może zechcesz niektóre z nich odczytać. Nie mam nic przeciwko temu.

*Pozdrawiam
Andrzej Wierzbicki*

P.S.

Zdjęcie, przedstawiające Andrzeja, przemawiającego na tle tajemniczego plakaciku z rzymskimi cyframi „XXV”, to zapewne pamiątka z uroczystości dwudziestopięciolecia Instytutu Historii PAN, ale złośliwi mogą w nim dostrzec udział w zakamuflowanej uroczystości ćwierćwiecza Konferencji Otwockiej.

Warszawa 17–18 czerwca 2010 r.

Jan Janiak

Człowiek, który zmienił moje życie

Pewnego wiosennego dnia roku 1978 siedziałem w kawiarni Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego, popijałem kawę i jadłem ciastko, gdy wszedł profesor Andrzej Grabski, zamówił w bufecie duży kubek kawy, a potem rozglądał się za jakimś wolnym miejscem w zatłoczonym jak zawsze lokalu. W końcu dostrzegł

⁷ Określenie „trefnego towaru” z polskiej komedii wojennej „Giuseppe w Warszawie”. Pisząc te słowa usłyszałem radiowy komunikat, że zmarła w Nowym Jorku przeuroczo grająca w tym filmie Elżbieta Czyżewska. To niesamowite.

⁸ Powiedzonko zainspirowane w znacznej mierze postacią Wojciecha Frykowskiego, syna bogatego łódzkiego przywaciarza, który stawiał swym kolegom filmowcom, to co stawić należy. Przyjaciel Polańskiego, mąż, a właściwie jeden z męży, Agnieszki Osieckiej, zamordowany wraz z Sharon Tate przez „bandę Mansona”. Skądinąd uczyć łodźcian, kim był W. Frykowski i na czym polegał jego styl, to prawdziwa impertynencja. Wybaczcie kochani.

wolne krzesło przy moim stoliku, jednym z dwu, które stały tuż przy drzwiach i były zarezerwowane dla pracowników biblioteki.

Profesora Andrzeja Grabskiego znałem z powodu mojej kilkuletniej pracy w Wypożyczalni Miejscowej BUŁ. Kilka razy pomogłem mu wypożyczyć książki poza regulaminową kolejnością, zamienialiśmy niekiedy kilka słów i dlatego wiedział, że jestem słuchaczem studiów zaocznych w Instytucie Historii UŁ. Raz po raz dopytywał się o moje postępy edukacyjne, pytał na jaki temat i u kogo piszę pracę magisterską, a dowiedziawszy się zwrócił mi uwagę na niektóre źródła niezbędne do wykorzystania. Widywaliśmy się i rozmawiali także i wtedy, gdy od czasu do czasu przysiadł się do naszego pracowniczego stolika i wdawał się w erudycyjny dyskurs z niezapomnianym, nie żyjącym już dzisiaj ówczesnym wicedyrektorem Biblioteki UŁ Michałem Kuną. To za dużo powiedziane, że brałem aktywny udział w takiej dyspucie. Milcząco i z szacunkiem się przysłuchiwałem, aniżeli zabierałem głos tym bardziej, że dysputy z Michałem Kuną szybko zamieniały się w monolog, czyli wykład Profesora.

Usiadł więc przy mnie, wyjął paczkę mocnych papierosów czyli ulubionych gauloisów, zapalił, łyknął kawę, a ponieważ dawno się nie widzieliśmy zapytał co teraz porabiam, czym się zajmuję i czy mam jakieś plany na przyszłość. Od dwu lat byłem (po zdaniu egzaminu państwowego) kustoszem dyplomowanym, wicedyrektorem Biblioteki UŁ i cała moja energia skupiona była na zarządzaniu powierzonym mi sporym odcinkiem tej dużej przecież instytucji, a także musiałem się oddawać papierkowej, biurokratycznej robocie, której tak naprawdę nie cierpiałem. A ponieważ jej nie cierpiałem, więc wykonywałem ją sumiennie i rzetelnie. Jeśli natomiast idzie o moje naukowe zainteresowania to godne najwyższego szacunku bibliotekoznawstwo, informacja naukowa i badawcze obszary tych dyscyplin nie pociągały mnie zbytnio. Wysłuchawszy mojej relacji Profesor zapalił kolejnego papierosa i powiedział:

– Panie kolego, w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Politycznych przy ulicy Gdańskiej prowadzę seminarium doktorskie w Zakładzie Historii Myśli Politycznej. Może by Pan zajrzał? Zapraszam. Spotykamy się w każdy wtorek. Zobacz pan, posłucha czym się zajmujemy, kilku kolegów pracuje już nad doktoratami. Warto byłoby, żeby się pan zajął jakimś interesującym problemem. Niech pan się kiedyś wyrwie z biblioteki i przyjdzie do nas.

To zaproszenie profesora do udziału w seminarium było dla mnie ogromnym wyróżnieniem, a także darem losu. Podziękowałem i obiecałem, że pojawię się Instytucie.

W podługowatym pokoju na pierwszym piętrze stał długi stół, a przy nim sadowiło się ośmiu mężczyznom i jedna kobieta. Nikogo nie znałem, ale okazało się niebawem, że niektórzy pamiętali mnie jako pracownika Biblioteki. Wywnioskowałem z ich zdziwionych spojrzeń, iż zastanawiali się nad przyczyną mojej pośród nich obecności. Onieśmielony usiadłem na obrzeżu stołu i przez moment wahalem się czy pozostać, czy też wyjść i więcej już się tutaj nie pojawić. Nie

byłem przecież pracownikiem Instytutu. Siedziałem jednak w niecierpliwym oczekiwaniu na profesora. Wreszcie przyszedł dźwigając sporych rozmiarów wypchaną teczkę, usiadł, poprawił okulary, zapalił papierosa, przedstawił mnie zebranym i poinformował, że będę członkiem seminarium. Potem powiedział: „o ile się nie mylę to dzisiaj mamy dalszy ciąg serialu kolegi J.W.” Następnie wyjął z kieszeni notes i grube pióro marki parker i przygotował się do robienia notatek. Wezwany J.W. położył przed sobą plik zapisanych papierów i czytał, jak się okazało, kolejny rozdział swojej rozprawy doktorskiej. Gdy J.W. zakończył referowanie profesor zarządził dyskusję, a po wysłuchaniu krytycznych uwag seminarzystów profesor wstał i przemierzając salę z jednego kąta do drugiego poddał surowej, ale życzliwej wiwisekcji odcinek „serialu” autorstwa J.W.

Na koniec wyjął z teczki dwie książki i polecił J.W. ich wnikliwą lekturę oraz uwzględnienie w doktorskiej rozprawie. Taka procedura obowiązywała mniej więcej na każdym spotkaniu naszego zespołu wzbogacona niekiedy poleceniem profesora recenzowania przez kogoś z nas najnowszych naukowych publikacji. Po jakimś czasie zarządził przynoszenie na seminaria kasetowych magnetofonów po to, żeby nagrywać jego uwagi do naszych „seriali”. Przekonując nas o korzyściach nagrywania mówił: „za dwa miesiące zapomnicie co mówiłem, ale taśma wam je przypomni i będzie jak znalazł”. Miał rację.

Podobała mi się swobodna, przyjazna atmosfera, żywa dyskusja, wnikliwe, krytyczne, a przecież życzliwe, często okraszone dowcipem uwagi profesora. Wyprzedzając chronologię mojej relacji powiem, że tak postępował z każdym z nas, a w końcowej fazie pracy nad doktoratem można było konsultować się z profesorem zawsze, w każdej chwili, nie wyłączając wizyt w jego mieszkaniu. Nigdy nie szczędził czasu na indywidualne rozmowy służąc swoją ogromną erudycją, ale też i życzliwym krytycyzmem wobec naszych naukowych poczynąń. Bardzo dbał o to, aby dysertacje, nad którymi pracowaliśmy stały na wysokim poziomie pod każdym względem. Nie strzegł zazdrośnie wiedzy, którą posiadał, ale dzielił się nią z nami szczerze. Świadczyć może o tym i to, że pewnego dnia polecił nam uczestniczyć w słuchaniu swoich wykładów z historii historiografii jakie prowadził dla studentów III roku historii. Zależało mu przede wszystkim na tym, abyśmy zwrócili uwagę na zagadnienia metodologiczne, do których przywiązywał wielką wagę.

Po jakimś czasie okazało się, że dwugodzinne seminarium bynajmniej nie kończy się z wybiciem zegara ponieważ istnieje ciąg dalszy, gdy oto z profesorem na czele udajemy się, aby kontynuować naukową dysputę w nieodległej od Instytutu restauracji „Ekonomista”. Brałem udział w tych biesiadno-naukowych spotkaniach, a te restauracyjne posiedzenia miały, oprócz niezapomnianego klimatu spotkań towarzysko-koleżeńskich, charakter czegoś w rodzaju nieformalnych sympozjów, podczas których poruszaliśmy wiele interesujących problemów.

Profesor wiedział, że nie w każdy wtorek mogę być obecny na seminarium i dlatego odwiedzał mnie w Bibliotece, gdzie rozważaliśmy temat mojej rozprawy doktorskiej. Po kilku miesiącach zebrałem materiały i zacząłem pisać, a także publikować fragmenty pracy. Dojrzewała powoli we mnie myśl o odejściu z Biblioteki i zatrudnieniu się w Instytucie. Tak też się i stało i z początkiem roku akademickiego 1979/1980 zostałem asystentem.

Moja intensywna praca nad doktoratem zaowocowała tym, że w pewnym momencie profesor uznał, iż nadszedł czas abym ruszył z „serialem”, który trwał jakiś czas i wreszcie przybrał postać pierwszej wersji rozprawy. Wówczas nastąpił okres indywidualnych konsultacji, na które byłem zapraszany, tak jak i moi koledzy, do mieszkania Profesora. Pamiętam pierwszą wizytę. Mieszkał jeszcze wówczas na osiedlu przy zbiegu ulic Wojska Polskiego i Strykowskiej. Kiedy wszedłem do niewielkiego pokoju najpierw usłyszałem muzykę, a potem ujrzałem plecy profesora, który pochylony na maszyną do pisania uderzał w jej klawiaturę z wprawą doświadczonej sekretarki. Obrócił się ku mnie, położył palec na ustach, a gestem drugiej ręki pokazał mi krzesło w kącie pokoju. Usiadłem. Po dłuższej chwili skończył pisać, podszedł do mnie i powiedział:

– Przepraszam, że musiał pan czekać, ale właśnie kończyłem pisać po francusku referat na konferencję. Pojutrze jadę do Paryża..

Pisał nie posługując się żadnymi notatkami, szkicami, czy opracowanym wcześniej brudnopisem. Kiedyś spotkałem profesora w pociągu jadącym z Warszawy do Łodzi. Po kilku chwilach rozmowy przeprosił, że będzie pracował, ale czas go goni, a tego ma zawsze mało. Wyjął z teczki plik kartek i skupił się na pisaniu. Tym razem pisał po niemiecku. Za kilka dni jechał do Berlina, gdzie miał wygłosić referat na międzynarodowej konferencji historiograficznej. Wracając do muzyki, która zawsze towarzyszyła profesorowi w jego mieszkaniu czy to gdy pisał, czy odpoczywał, to był on nie tylko zapalonym melomanem, ale i znakomitym muzyki znawcą o czym świadczy obszerny rozdział jego autorstwa umieszczony w IV tomie „Historii Polski” (wyd. PAN) poświęcony polskiej muzyce okresu dwudziestolecia międzywojennego. Wydaje mi się, że chyba niewiele osób wiedziało o muzykologicznej pasji profesora i jego erudycji w tej dziedzinie.

Upłynęły dwa lub trzy miesiące od nadania mi stopnia doktora nauk historycznych przez Radę Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu gdy pewnego dnia zadzwonił profesor.

– Panie Janku, jutro spotykamy się o godzinie 7.15 na dworcu Łódź Fabryczna. Pojedziemy do Warszawy o 7.35 do Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Niech pan zabierze ze sobą maszynopis swojej rozprawy. Najwyższa pora, żeby tę pańską pracę opublikować. Umówiłem nas z jednym z redaktorów.

Oniemiałem z wrażenia i przez długą chwilę milczałem.

– Słyszysz mnie pan? – zapytał.

– Tak, tak słyszę...

– No to czekam na pana w pociągu i niech pan nie zapomni maszynopisu.

W rok później moja doktorska rozprawa p.t. „Interpretacje leninizmu w polskiej publicystyce politycznej w latach 1918–1939” (1987) ukazała się drukiem.

W wielu rozmowach z profesorem dyskutowaliśmy o mojej rozprawie habilitacyjnej, do której materiały gromadziłem już w trakcie pracy nad doktoratem. Zamierzałem napisać studium o polskich interpretacjach narodowego socjalizmu w okresie 1933–1939. Profesor bardzo zachęcał mnie do podjęcia tego tematu, a gdy napisałem kilkanaście artykułów poruszających tę problematykę pomagał mi w ich opublikowaniu.

Dla Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych UŁ nadchodziły czasy trudne bo burzowe chmury zwiastowały nie tylko polityczne przemiany, ale w owym czasie ukazała się nowa Ustawa o szkolnictwie wyższym, której zapisy dotyczące liczby samodzielnych pracowników nauki warunkowały istnienie bądź nieistnienie wielu kierunków studiów i jednostek uczelnianych. W tym zakresie MINP UŁ nie spełniał kryteriów zapisanych w Ustawie, a ponadto nie prowadził własnego kierunku studiów, a jedynie dydaktykę usługową na rzecz trzech uczelni (UŁ, PŁ i AM). Wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Wielokrotnie rozmawialiśmy o tym z profesorem szukając jakichś rozwiązań. Ostatecznie uchwałą Senatu UŁ Międzyuczelniany Instytut Nauk Politycznych został rozwiązany. Groza bezrobocia stała się koszmarnym faktem dla trzydziestu pięciu pracowników naukowo - dydaktycznych. Wiem, że wkrótce niektórzy koledzy zostali zatrudnieni w innych jednostkach naukowo-dydaktycznych UŁ dzięki osobistym staraniom profesora u władz uczelni.

W moim przypadku profesor poradził mi, abym wrócił do Biblioteki UŁ (akurat ogłoszono konkurs na stanowisko dyrektora naczelnego) i dokończył zaawansowaną już rozprawę habilitacyjną. Tak też zrobiłem. Wynik tajnego głosowania członków Rady Bibliotecznej był dla mnie pomyślny, ale problemy przed jakimi stanęła Biblioteka zaangażowały mnie tak dalece, iż dyrektorem BUŁ zostałem nie na trzy, ale prawie dwadzieścia lat. Mimo to nie zerwałem z dydaktyką i badaniami naukowymi bowiem w latach 2000–2010 pracowałem w Wyższej Szkole Ekonomii i Prawa w Kielcach na Wydziale Nauk Społecznych (Zakład Studiów Politycznych) nadal zajmując się problematyką recepcji i interpretacji doktryn politycznych. A wracając do sprawy rozwiązania MINP UŁ to już jako dyrektor BUŁ i członek Senatu UŁ byłem świadkiem niezwykle burzliwych obrad poświęconych dalszemu bytowi lub niebytowi Instytutu.

Z pewnością nie byłbym dydaktykiem (bardzo lubiłem pracę ze studentami), nie byłbym pracownikiem naukowym, nie miałbym w dorobku opublikowanego doktoratu i wielu artykułów gdyby w pewnym momencie mego życia nie pojawił się profesor A. F. Grabski. Zawdzięczam Mu bardzo wiele.